

**ŚNIEŻKA
MUSI
UMRZEĆ**

NELE
NEUHAUS
**ŚNIEŻKA
MUSI
UMRZEĆ**

Tłumaczyli
Anna i Miłosz Urbanowie



Tytuł oryginału
SCHNEEWITTCHEN MUSS STERBEN

Copyright © Ullstein Buchverlage GmbH, Berlin
Published in 2010 by List Taschenbuch Verlag
Copyright © for the Polish edition by Media Rodzina Sp. z o.o, 2013

Wydanie 2024 r.

Projekt okładki
Radosław Stępniaik | **SRSLV**studio.com

Zdjęcia na okładce
Shutterstock / RockRockRocki; Juta; kosmofish

Łamanie
Trevi – Martins

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości
albo fragmentów książki — z wyjątkiem cytatów w artykułach
i przeglądach krytycznych — możliwe jest tylko na podstawie
pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8265-732-6

Gorzka Czekolada jest imprintem wydawnictwa
Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań
tel. 61 827 08 50
wydawnictwo@mediarodzina.pl

Druk
Abedik

Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich. Prawo autorskie
pobudza różnorodność, napędza kreatywność, promuje wolność słowa,
przyczynia się do tworzenia żywej kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz
praw autorskich, a więc nie kopiujesz, nie skanujesz i nie udostępniasz
książek publicznie. Dziękujemy za to, że wspierasz autorów i pozwalasz
wydawcom nadal publikować książki.

Dla Simone

PROLOG

Strome stopnie były wąskie i pokryte rdzą. Po omacku znalazł włącznik i sekundę później dwudziestopięciowatowa żarówka wydobyla z mroku niewielkie pomieszczenie. Ciężkie stalowe drzwi otworzyły się bezgłośnie. Regularnie smarował zawiasy, żeby nie obudziło jej skrzypienie, kiedy przychodził w odwiedziny. W nozdrza uderzyło go ciepłe powietrze wymieszane ze słodką wonią przekwitłych kwiatów. Starannie zamknął za sobą drzwi, włączył światło i znieruchomiał. Duże pomieszczenie, długie na dziesięć metrów i szerokie na pięć, było skromnie umeblowane, lecz on dobrze się tu czuł. Podszedł do wieży i nacisnął PLAY. Z głośników popłynął zachrypnięty głos Bryana Adamsa. Nie przepadał za muzyką, lecz ona uwielbiała śpiew tego Kanadyjczyka. Starał się, by niczego jej nie brakowało. Skoro musiała pozostawać w ukryciu, powinna mieć wszystko, co lubi. Milczała jak zwykle, nigdy z nim nie rozmawiała i nie odpowiadała na pytania, lecz jemu to nie przeszkadzało. Odstawił parawan oddzielający część pomieszczenia. Leżała na wąskim łóżku, nieruchoma i piękna, z dłońmi złożonymi na brzuchu, a długie włosy otaczały jej głowę niczym czarny welon. Na podłodze obok stały buty, a na stoliku nocnym bukiet zwiędłych lilii w szklanym wazonie.

— Witaj, Śnieżko — powiedział cicho.

Pot wystąpił mu na czoło. Trudno było wytrzymać wysoką

temperaturę, ale ona lubiła gorąco. Szybko marzła. Spojrzał na zdjęcia, które powiesił obok łóżka. Miał zamiar zapytać, czy pozwoli mu przynieść kolejne. Bał się, by jej nie urazić; zdecydował, że poczeka na lepszy moment. Ostrożnie przysiadł na kołdrze. Materac ugiął się pod jego ciężarem i miał wrażenie, że się poruszyła. Ale nie. Nawet nie drgnęła. Wyciągnął dłoń i dotknął jej policzka. Przez lata twarz dziewczyny straciła kolor i przybrała żółtawy odcień, a skóra stała się krucha niczym pergamin. Jak zawsze miała opuszczone powieki i choć jej policzki nie były już różowe i miękkie, usta pozostały piękne jak dawniej — jak wtedy, kiedy jeszcze z nim rozmawiała i uśmiechała się do niego. Przez dłuższą chwilę siedział i patrzył. Nigdy bardziej nie pragnął, by ją chronić.

— Muszę już iść — odezwał się w końcu z żalem. — Mam dużo pracy.

Wstał, wyjął bukiet z wazonu i upewnił się, że butelka coli jest pełna.

— Daj mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, dobrze?

Czasem brakowało mu jej śmiechu. Robił się wtedy smutny. Oczywiście wiedział, że jest martwa, lecz łatwiej było mu udawać, że wciąż żyje. Nie stracił nadziei, że jeszcze kiedyś się do niego uśmiechnie.

CZWARTEK 6 LISTOPADA 2008

Nie powiedział „do widzenia”. Nikt, wychodząc z więzienia, nie wypowiada takich słów. Przez ostatnie dziesięć lat często, ba, nawet bardzo często myślał o tym dniu. Teraz nie spodziewanie uświadomił sobie, że jego myśli sięgały jedynie chwili przestąpienia bramy prowadzącej na wolność — wolność, która nagle wydała mu się niebezpieczna. Nie miał żadnych planów na życie. Już nie. I wbrew powtarzanym jak mantra zakłębom pracowników socjalnych, od dawna wiedział, że świat na niego nie czeka. I że powinien przygotować się raczej na niechęć, odrzucenie i przyszłość bynajmniej nieustaną różami. Mógł zapomnieć o karierze lekarza, o której marzył jako świeżo upieczony maturzysta, z samymi piątkami z egzaminów. Być może przyda mu się fach ślusarza, którego wyuczył się w więzieniu. Tak czy inaczej, właśnie nadszedł czas, by zmierzyć się z życiem.

Za jego plecami zasunęła się z metalicznym zgrzytem szara stalowa brama zakładu karnego JVA Rockenberg. Wtedy ją dostrzegł. Stała po drugiej stronie ulicy. Zaskoczyła go, choć przez ostatnie dziesięć lat była jedyną osobą ze starej paczki, która przysyłała mu listy. Tak naprawdę spodziewał się ojca. Opierała się o błotnik srebrnego samochodu terenowego i, paląc nerwowo papierosa, rozmawiała przez komórkę. Nie ruszył się z miejsca. Kiedy go poznała, wyprostowała się, schowała

telefon do kieszeni płaszcza i cisnęła niedopałek na ziemię. Zawahał się, ale po chwili przeszedł na drugą stronę i stanął przed nią, ściskając w lewej dłoni niewielką walizkę, mieszczącą jego cały dobytek.

— Witaj, Tobi — powiedziała i zaśmiała się nerwowo.

Dziesięć lat to bardzo dużo; dokładnie tyle czasu się nie widzieli. Nie chciał, żeby go odwiedzała.

— Cześć, Nadja — odparł.

Dziwnie się poczuł, używając jej nowego imienia. Na żywo wyglądała jeszcze lepiej niż w telewizji. Młodziej. Stali naprzeciwko siebie i mierzyli się niepewnym wzrokiem. Podmuch chłodnego wiatru przeganiał jesienne liście po ulicznym bruku. Słońce skryło się za grubymi, szarymi chmurami. Zrobiło się zimno.

— Wspaniale, że już wyszedłeś. — Objęła go w pasie i pocałowała w policzek. — Ogromnie się cieszę. Serio.

— Ja też. — W chwili kiedy wypowiedział te słowa, zaczął się zastanawiać, czy tak jest naprawdę. Radość to przecież coś innego niż poczucie wyobcowania i niepewności...

Puściła go, bo nawet nie drgnął, by odpowiedzieć takim samym gestem. Niegdyś była jego najlepszą przyjaciółką; jej obecność traktował jako coś tak oczywistego, jak to, że po nocy nastaje dzień. Córka sąsiadów. Siostra, której nigdy nie miał. Bardzo się zmieniła i nie chodziło tylko o imię. Z chłopięcej Nathalie-podlotka, która wstydziła się piegów, szpary między zębami i piersi, stała się Nadją von Bredow, sławną aktorką. Urzeczywistniła swój sen: opuściła wioskę, z której oboje pochodzili, i wspięła się na sam szczyt drabiny społecznej, gdzie czekała ją sława i powszechne uznanie. On za to nie zdołał postawić stopy nawet na pierwszym stopniu. Od dziś był tylko byłym więźniem, który co prawda spłacił swój dług wobec społeczeństwa, lecz mimo to świat nie czekał na niego z otwartymi ramionami.

— Twój ojciec nie dostał na dziś wolnego — wyjaśniła, odsuwając się kawałek. Unikała przy tym patrzenia mu w oczy, jakby zaraziła się jego niepewnością. — Dlatego ja przyjechałam.

— Dzięki, to bardzo miło z twojej strony. — Tobias postawił walizkę na tylnej kanapie jej wozu i usiadł w fotelu pasażera.

Jasna skórzana tapicerka była idealnie gładka, a wewnątrz samochodu pachniało nowością.

— No, no — mruknął z uznaniem, spoglądając na deskę rozdzielczą. Przypominała mu kokpit samolotu. — Niezła bryka.

Nadja uśmiechnęła się, zapięła pasy i, nie wkładając nawet kluczyka do stacyjki, nacisnęła guzik. Silnik natychmiast zaskoczył, wydając przyjemny basowy pomruk. Z wprawą wyjechała potężną maszyną z miejsca parkingowego. Tobias przesunął wzrokiem po koronach kasztanowców rosnących wzdłuż więziennego muru. Przez ostatnie dziesięć lat ich widok stanowił jego jedyny kontakt ze światem zewnętrznym. Wraz z kolejnymi porami roku drzewa były realną oznaką rzeczywistości, podczas gdy resztę świata za więziennymi murami spowijała szara mgła. A teraz on, skazany za podwójne zabójstwo, odsiedział karę i musiał wyjść na zewnątrz. Musiał zanurzyć się w tej szarej mgle. Czy tego chciał, czy nie.

— Dokąd mam cię zawieźć? Pojedziemy do mnie? — zapytała Nadja, skręcając na wjazd na autostradę. Ostatnio w listach wielokrotnie go namawiała, by na początku zamieszkał u niej — pisała, że jej mieszkanie we Frankfurcie jest dostatecznie duże. Myśl, by nie wracać do Altenhain i uciec przed przeszłością, była kusząca. Mimo wszystko podziękował.

— Może potem — odparł. — Najpierw chciałbym do domu.

*

KOMISARZ PIA KIRCHHOFF z policji kryminalnej stała w strugach deszczu na terenie dawnego lotniska wojskowego niedaleko Eschborn. Blond włosy miała związane w dwa krótkie kucyki, na głowie bejsbolówkę, a ręce ukryte w kieszeniach ortalionowej kurtki. Beznamiętnie przyglądała się technikom, jak siłują się z plandeką, starając się zabezpieczyć wykop. W czasie wyburzania walącego się hangaru operator koparki znalazł w pustym podziemnym zbiorniku ludzkie kości i czaszkę, a potem, rozwścieczając tym swojego szefa, powiadomił policję. Roboty budowlane wstrzymano przeszło dwie godziny temu, a ona musiała teraz wysłuchiwać nieprzyjemnych tyrad wściekłego brygadzysty, którego międzynarodowa ekipa niemal rozplynęła się w powietrzu na widok policji. Mężczyzna zapalił trzeciego papierosa w ciągu ostatnich piętnastu minut i skrył głowę w ramionach, jakby chciał w ten sposób uchronić się przed kąpiącym za kołnierz deszczem. Przez cały czas mełł pod nosem przekleństwa.

— Czekamy teraz na lekarza medycyny sądowej. Zaraz powinien się pojawić. — Pii nie obchodziło ani to, że przy robocie pracowali robotnicy zatrudnieni na czarno, ani opóźnienia w harmonogramie. — Możecie przecież zająć się innym hangarem, prawda? Mało ich tutaj?

— Łatwo pani mówić — poskarżył się mężczyzna i wskazał na unieruchomioną koparkę i ciężarówkę. — Przez tych kilka kostek mamy paskudne opóźnienie. To będzie kosztowało majątek!

Pia wzruszyła ramionami i odwróciła się, bo dostrzegła samochód podskakujący na popękany betonie pasa startowego. Chwasty skolonizowały każdą szczelinę niegdyś gładkiej powierzchni, zmieniając ją w prawdziwy tor do jazdy terenowej. Od czasu, kiedy lotnisko przestało funkcjonować, natura zawzięcie udowodniała, że pokona każdą przeszkodę postawioną jej przez człowieka. Pia zostawiła złorzeczącego robotnika i ruszyła w kierunku mercedesa, który zatrzymał się przy radiowozach.

— Nie spieszyło ci się — niezbyt przyjaznym tonem przywitała byłego męża. — Będziesz miał mnie na sumieniu, jeśli złapię grypę.

Doktor Henning Kirchhoff, zastępca szefa Instytutu Medycyny Sądowej we Frankfurcie, nie dał się sprowokować. Z całkowitym spokojem włożył obowiązkowy jednorazowy kombi-nezon, zamienił błyszczące lakierki z czarnej skóry na kalosze, a głowę ukrył pod kapturem.

— Miałem wykład — wyjaśnił. — A potem utknąłem w korku przy targach. Przykro mi. Co my tu mamy?

— Szkielet w jednym z podziemnych zbiorników. Firma rozbiórkowa zgłosiła sprawę dwie godziny temu.

— Czy ktoś go ruszał?

— Nie sądzę. Z tego, co wiem, usunęli część murów i ziemię dookoła, a potem odcięli górną część zbiornika, bo był zbyt duży, żeby wywieźć go w całości.

— Świetnie. — Kirchhoff kiwnął głową, przywitał się z technikami, podniósł plandekę i zaczął schodzić na dno wykopu, gdzie leżała pozostała część skorupy z kośćmi. Bez dwóch zdań, Henning Kirchhoff był najwłaściwszym człowiekiem do tego zadania, bo był jednym z niewielu policyjnych antropologów, a badanie ludzkich kości należało do jego specjalności. Wiatr był tak silny, że deszcz zacinął niemal poziomo. Pia trzęsa się z zimna. Ciężkie krople spadały z daszka jej czapki na nos, nogi miała tak zmarznięte, że nie mogła poruszać palcami, i zazdrościła nielicznym pozostałym robotnikom z ekipy rozbiórkowej, którzy schowali się w hangarze. Mieli tam przeczekać przymusową przerwę, popijając gorącą kawę z termosów. Henning jak zawsze sumiennie zabrał się do pracy — ilekroć miał przed sobą ludzkie szczątki, tracił kontakt z otoczeniem i poczucie czasu. Wszedł do zbiornika, przyklęknął na dnie i nachylił się nad szkieletem. Uważnie analizował każdą kość z osobna. Pia wetknęła głowę pod plandekę i chwyciła szczebel drabiny, by nie zsunąć się na dół.

— Kompletny szkielet! — krzyknął Henning, nie podnosząc głowy. — Kobiocy.

— Młoda czy stara? I od jak dawna tu leży?

— Za wcześnie, żeby cokolwiek powiedzieć. Na pierwszy rzut oka przynajmniej kilka lat, bo brak śladów tkanek miękkich — odpowiedział, po czym wstał i wspiął się na powierzchnię.

Na dno wykopu zaraz zeszli technicy i zabrali się za zabezpieczanie szczątków, żeby przy transporcie nie zmienić ich ułożenia. Dopiero kiedy znaleziony materiał trafi do laboratorium, rozpoczną się szczegółowe analizy. W czasie robót ziemnych dość często znajdowano ludzkie kości, a ustalenie, jak długo tam leżały, było ważne ze względu na trzydziestoletni okres, po którym przedawniały się przestępstwa przeciwko życiu i zdrowiu — zatem również morderstwa. Dopiero kiedy ustalono, ile lat miał denat — lub denatka — w chwili zgonu i jak długo szkielet znajdował się w ziemi, można było zacząć przeszukiwać kartoteki zaginionych. Na starym lotnisku wojskowym ostatnie samoloty lądowały w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku i zapewne wtedy też po raz ostatni zbiorniki zostały napełnione paliwem. Szkielet mógł więc należeć do amerykańskiej żołnierki z bazy wojskowej USA, która funkcjonowała w pobliżu do listopada 1991, albo do mieszkanki dawnego obozu dla uchodźców zajmującego teren za wysokim płotem z drutem kolczastym.

— Wskoczysz gdzieś na kawę? — Henning zdjął okulary, stał z nich krople deszczu i zdjął przemoknięty kombinezon. Pia popatrzyła na byłego męża zaskoczona. Prywatne wyjścia w czasie pracy nie były w jego przypadku czymś zwyczajnym.

— Coś się stało? — zapytała oschle.

Wykrzywił usta, po czym głęboko westchnął.

— Siedzę po uszy w gównie — przyznał się. — Potrzebuję twojej rady.

*

WIOSKA PRZYCUPNEŁA w górskiej dolinie, przygnieciona dwoma szkaradnymi wieżowcami wybudowanymi w latach siedemdziesiątych, kiedy każda gmina z aspiracjami wydawała zezwolenia na podobne maskary. Po prawej stronie znajdowało się Wzgórze Milionerów, jak starzy mieszkańcy okolicy złośliwie nazywali zbocze, gdzie na rozległych działkach nieliczni majątni przyjezdni pobudowali swoje rezydencje. Serce biło mu coraz mocniej, im bliżej byli rodzinnego domu. Po raz ostatni widział go przed jedenastoma laty. Po prawej stronie stał stary budynek z muru pruskiego, w którym mieszkała babcia Dombrowska. Od kiedy sięgał pamięcią, wyglądał, jakby w pionie podtrzymywały go dwa inne budynki, między które się wcisnął. Nieco dalej, po lewej stronie, znajdowało się gospodarstwo Richterów i ich sklep, a naprzeciwko, nieco na skos, karczma jego ojca, Pod Żółtym Kogutem. Głośno przełknął ślinę, kiedy Nadja zatrzymała się przed podjazdem. Z niedowierzaniem spoglądał na zniszczoną fasadę, odpadający tynk, opuszczone kraty w oknach i naderwaną rynnę. Z pęknięć w asfalcie wyrastały chwasty, a brama wjazdowa wisiała krzywo na uszkodzonych zawiasach. Miał wielką ochotę poprosić, by natychmiast ruszyła i zawiozła go gdzieś daleko stąd, im szybciej, tym lepiej... Powstrzymał się jednak, podziękował jej krótko, wysiadł i wziął walizkę z tylnego siedzenia.

— Daj mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebował — powiedziała jeszcze, dodała gazu i odjechała.

Czego właściwie się spodziewał? Że będą na niego czekali z muzyką? Stał samotny na pustym asfaltowym parkingu przed miejscem, które niegdyś było sercem tej smutnej, zapadłej dziury. Dawniej oślepiająco biały tynk poszarzał i odpadał płatami, a napisu „Pod Żółtym Kogutem” niemal nie dało się odczytać. W drzwiach, za pękniętą mleczną szybą, wisiała wyblakła tabliczka „Zamknięte do odwołania”. Ojciec wspomniał mu co prawda, że musiał zamknąć lokal, lecz tłumaczył się

problemami z kręgosłupem. Tobias domyślał się jednak, że coś innego skłoniło go do podjęcia takiej decyzji. Hartmut Sartorius został karczmarzem, kontynuując tradycję trzech pokoleń. Całym sercem i duszą oddał się swojej pracy — sam opraciał mięso, sam przygotowywał posiłki, robił wino jabłkowe i przez te wszystkie lata nie opuścił nawet jednego dnia. Może goście przestali przychodzić? Nie zdziwiłby się, gdyby nikt nie chciał się bawić w karczmie ojca podwójnego mordercy. Tobias nabrał głęboko powietrza i podszedł do wewnętrznej bramy. Musiał się napiąć, żeby odsunąć choćby jedno skrzydło. Stan podwórza wprawił go w osłupienie. Tam, gdzie latem pod grubymi konarami starego kasztanowca i przy malowniczo zarośniętej dzikim winem pergoli zawsze stały krzesła i stoły, gdzie zapracowane kelnerki obsługiwały gości, dziś królował smutek i bałagan. Tobias wodził wzrokiem po górach śmieci, zniszczonych meblach i rupieciach. Pergola częściowo się zawałiła, dzikie wino uschło. Opadłe liście kasztanowca leżały niezamiecione, a śmietników od tygodni nikt nie opróżnił, bo worki z odpadkami piętrzyły się dookoła, tworząc cuchnącą górę. Jak rodzice mogli mieszkać w takim miejscu? Poczul, że opuszczają go resztki odwagi, która sprawiła, że w ogóle tu przyjechał. Z ociąganiem podszedł do schodów, wspiął się na nie i stanął przed drzwiami. Potem powoli podniósł dłoń i zadzwonił. Kiedy szczęknął zamek, serce podskoczyło mu do gardła. Na widok ojca jego oczy wypełniły się łzami, ale jednocześnie poczuł ogromną złość; złość na siebie i na ludzi, którzy opuścili jego rodziców w potrzebie.

— Tobias! — Zapadniętą twarz Hartmuta Sartoriusa na chwilę rozjaśnił uśmiech.

Ojciec był tylko cieniem energicznego, pewnego siebie człowieka, jakim Tobias go pamiętał. Gęste niegdyś, ciemne włosy pokryły się siwizną i przerzedziły, a zgarbione plecy zdradzały brzemię, jakie życie złożyło na jego barkach.

— Ja... chciałem tutaj posprzątać, żeby było czysto na twój przyjazd... ale nie dostałem wolnego i... — powiedział i przerwał, a z jego twarzy zniknął uśmiech.

I stali tak naprzeciwko siebie; stary, sterany mężczyzna, który ze wstydem unikał spojrzenia syna, wiedząc, co tamten myśli. Tobias poczuł, że to dla niego zbyt wiele. Upuścił walizkę, rozłożył ramiona i objął nieporadnie kruchego, wynędzniałego człowieka, w którym z trudem odnajdował podobieństwo do ojca. Nieco później, ciągle zakłopotani, siedzieli razem przy kuchennym stole. Tak wiele mieli do omówienia, a jednak słowa były zbędne. Kolorową, jaskrawą ceratę pokrywały okruchy, szyb od dawna nikt nie mył, a samotne rośliny w doniczkach na parapecie już dawno przegrały walkę z brakiem wody. W kuchni unosił się zapach stęchlizny, skwaśniałego mleka i niezliczonych papierosów. Żaden z mebli nie został ruszony z miejsca, a na ścianach nie brakowało żadnego obrazka — wszystko zostało dokładnie tak, jak szesnastego września 1997 roku, w dniu, kiedy go aresztowano. Od tamtego czasu nie widział rodzinnego domu. Tyle tylko, że wtedy wszystko było jasne i przyjazne, a pokoje lśniły czystością, bo matka była wspaniałą gospodynią. Dlaczego tak strasznie zapuścili dom i obejście? Jak mogła to tolerować?

— Gdzie jest mama? — Tobias w końcu przerwał milczenie.

Zauważył, że tym pytaniem wprowadził ojca w jeszcze większe zakłopotanie.

— My... chcieliśmy ci dać znać... ale... ale uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli dowiesz się później... — odparł Hartmut po chwili wahania. — Matka jakiś czas temu... wyprowadziła się. Oczywiście wie, że dzisiaj wracasz do domu i bardzo się cieszy.

Tobias patrzył na niego i nic nie rozumiał.

— Co to ma znaczyć, że się wyprowadziła?

— Po tym, jak... jak zniknąłeś, było nam bardzo ciężko. Plotki i obgadywanie bez końca... Więc nie wytrzymała —

mówił cicho i spokojnie, a w jego głosie nie było słychać pretensji. — Rozwiedliśmy się cztery lata temu. Twoja matka mieszka teraz w Bad Soden.

Tobias z trudem przełknął ślinę.

— Dlaczego mi o tym nie powiedzieliście? — wyszeptał.

— A czy to by cokolwiek zmieniło? Nie chcieliśmy cię obciążać.

— To znaczy, że mieszkasz tu sam?

Hartmut potaknął, machinalnie zgarniając kątem dłoni okruszki; układał je w symetryczne kształty, a potem znów rozrzucał po stole.

— Co ze świniami? Krowami? Jak dajesz radę z pracą w obejściu? Sam?

— Już dawno przestałem hodować zwierzęta. — Ojciec potrząsnął głową. — Teraz uprawiam tylko kawałek pola i to wszystko. Poza tym znalazłem przyzwoitą pracę w kuchni w Eschborn.

Tobias zacisnął pięści. Jak mógł być tak egocentryczny, żeby sądzić, że tylko on został pokrzywdzony przez życie! Nie przypuszczał, że tyle przez niego musieli wycierpieć rodzice. W czasie wizyt roztaczali przed nim wizje niemające nic wspólnego z rzeczywistością. Ile wysiłku musieli w to wkładać! Bezradna złość niczym niewidzialna ręka ścisnęła go za gardło i zaczęła dusić. Wstał, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Jego plan, by po kilku dniach spędzonych z rodzicami wyprowadzić się gdzieś daleko, jak najdalej od Altenhain i rozpocząć tam życie od nowa, właśnie spalił na panewce. Zostanie tutaj. W tym domu, na tym podwórzu, w tej zapyziałej dziurze, w której jego rodzice zostali pozostawieni samym sobie i nikt ich nie wsparł, choć oni akurat niczemu nie byli winni.

*